

Pragnienie zignorowane – zbrodnie przeciw psychoanalizie

Być może zabrzmiało to jak tautologia, lecz wydało mi się słusznym podkreślenie, iż zbrodnie psychoanalityczne to zbrodnie przeciw psychoanalizie, a precyzyjnie – przeciw pragnieniu psychoanalitycznemu. Jeśli pragnienia nie ma, o zbrodni trudno mówić. Jeśli było bądź jest, lecz przegrało zmagania z narcyzmem – z całą pewnością możemy o zbrodni mówić.

Popęłnić ją można w dowolnym momencie. Zaryzykuję jednak wskazanie czterech momentów, które – jak sądzę – mogą stanowić dla złodzieja okazję. Pierwszy moment to chwila, gdy do terapii zgłasza się pacjent z całą swoją wyobraźniowością. Drugim jest moment zakwestionowania. Albo ów moment się dostrzeże (nie wspominając o doprowadzeniu do niego!) i zajmie pozycję Innego, albo zignoruje pozostając na osi wyobraźniowej. Trzeci moment dotyczy wejścia w dyskurs analityczny, a więc zajęcia miejsca obiektu. Wreszcie czwarty moment – znany mi z doświadczenia, ale nie z praktyki – to moment końca analizy.

Mówiąc to samo, lecz z użyciem innej terminologii kluczowym dla rozważania zbrodni przeciw pragnieniu analitycznemu jest opisanie miejsca, w jakim w przeniesieniu lokuje nas pacjent (oraz naszej zgody bądź jej braku na zajęcie tegoż miejsca), sposobu otwierania przez analityka przestrzeni dla pragnienia i jego dialektyzacji, sposobu ujmowania fantazmatu oraz gotowości analityka do podtrzymania dyskursu analitycznego, czyli podkreślania obecności *obiekta a* w dyskursie analizanta. Zanim przejdę do ilustracji, nie odmówię sobie krótkiego historyczno-teoretycznego wstępu, w której części opartego na lekturze artykułu Marie-Hélène Brousse *The Imaginary*.

Przeniesienie ma dwa oblicza. Z jednej strony jest bazą dla pracy analitycznej, z drugiej – przeszkodą dla jej kontynuacji. Freud, omawiając tę drugą cechę przeniesienia, pisał o zjawisku miłości przeniesieniowej. W początkowym okresie rozwijania teorii psychoanalizy Lacan, podobnie do Freuda, postrzegał miłość jako zjawisko krystalicznie narcystyczne. Tak zatem, miłość przeniesieniowa nie była według niego niczym innym jak fenomenem narcystycznym wymagającym przepracowania. Przeniesienie i przeciwprzeniesienie to koncepcja dualna: jedno opiera się na drugim. Każda dualność osadzona jest w rejestrze wyobraźniowym, innymi słowy - w narcyzmie. Pierwszą lacanowską definicją przeciwprzeniesienia jest ta, iż jest to „suma uprzedzeń analityka”, coś, czego trzeba się pozbyć, by móc dokonać aktu. W przeciwnym razie interpretacje mogą stanowić sposobność dla wyobraźniowych identyfikacji bądź przeciw-identyfikacji. Jakie miejsce musi zająć analityk, by odseparować się od rzeczonych „uprzedzeń”? Według Lacana, ma to być miejsce śmierci – przeciwprzeniesienie powinno umrzeć. Nieco później Lacan zmienił sposób myślenia o przeciwprzeniesieniu. Jak długo rozważał ów problem w relacji do przeniesienia pozostawał w rejestrze wyobraźniowym bez szansy na wyrwanie się z jego ograniczeń. Zaproponował więc, by interpretować przeciwprzeniesienie z wykorzystaniem osi symbolicznej. W ten sposób narodziła się idea pragnienia analitycznego. Nie był to zabieg czysto formalny wprowadzający nową terminologię w miejsce starej. Lacan zwrócił uwagę na zasadniczy wymiar przeciwprzeniesienia. Nie twierdził, że przeciwprzeniesienie nie istnieje – twierdził natomiast, że nie można z jego pomocą tłumaczyć zjawiska miłości przeniesieniowej. Jeśli po stronie analizanta jest miłość przeniesieniowa, po stronie analityka jest pragnienie analityczne. Mamy zatem opozycję pomiędzy miłością przeniesieniową a pragnieniem analitycznym. To opozycja między rejestrem wyobraźniowym, w którym bierze swój początek dyskurs analizanta, a rejestrem symbolicznym właściwym pragnieniu analitycznemu. Pragnienie to nie jest zachcianką lub wymysłem. W żadnym stopniu nie jest też pragnieniem osobistym. Upraszczając - to przymus poproszenia kogoś o kontynuowanie analizy. Można by zapytać – skąd ten przymus? Otóż, to nic więcej jak logiczna konsekwencja dyskursu analitycznego. Pragnienie analityczne ściśle wiąże się z zakładaną wiedzą. A podmiotem zakładanej wiedzy jest przecież nieświadomość analizanta. Wiedza nie jest produkowana ani przez analityka, ani przez pacjenta, lecz stanowi owoc relacji analitycznej – owoc wspomnianego dyskursu. Na tym właśnie zasadza się pragnienie analityczne - to pragnienie analityka jako części mechanizmu, którym jest dyskurs analityczny. I to

pragnienie można zabić.

Czas na ilustrację. Anna zgłosiła się narzekając na bezsenność i lęki o nieokreślonym podłożu. Chciała się „śmiać, uśmiechać, bawić, czasem wypić drinka”. Na czwartym spotkaniu stwierdziła, że „jedyna rzecz, która nie wychodzi to seks”. Rozmowy wstępne przebiegały niemalże bezproblemowo. Dlaczego „niemalże”? Bo pani Anna była 53-letnią kobietą i już na pierwszym spotkaniu zwróciła uwagę na wyraźną różnicę między naszymi metrykami. Jedna metryka przeciw drugiej. Oś wyobrażeniowa w pełnym rozkwicie. Był to moment o tyle istotny, że nawet teraz, w chwili gdy piszę te słowa, odbija się echem w moich myślach tkwiąc w nich niczym gównem na podszewie (że już teraz pozwolę sobie nawiązać do czegoś, o czym za chwilę). Niemniej, pomimo tej zadry, której nie udało mi się pozbyć tanim stwierdzeniem „to tylko metryka”, prowadziłem spotkania wstępne skrętnie zbierając informacje i w sobie jedynie znany sposób udając „starszego niż jestem”. Historia pacjentki przedstawia się mniej więcej tak: Jest drugim dzieckiem swoich rodziców. Ojciec – mechanik, posiadacz jedynego auta w podszczecińskiej wsi, często reperujący samochody za flaszkę. Matka – zajmowała się domem. Starszy brat zmarł w okolicznościach, których teraz już nie pamiętam. Co ciekawe jednak – nie ma jego grobu. Młodsza o rok siostra zginęła w wieku dwóch lat. Podczas wesela wpadła do kotła z gorącą kawą i zmarła wskutek poparzeń. Kolejne rodzeństwo – dwie siostry i brat – młodszy odpowiednio o 8, 10 i 12 lat. Po śmierci siostry, Anna została oddana na wychowanie babci. Pierwszego chłopaka miała w wieku 18 lat. Ukończywszy Liceum Pedagogiczne wyjechała do pracy. Tam spotkała Romualda, niewiele starszego od siebie nauczyciela matematyki. Poznali się podczas kolacji w gronie znajomych (Romuald z kolegą, Anna z koleżanką), podczas której panowie pozwalali sobie komentować po niemiecku walory koleżanek. Barbara nie znała biegle niemieckiego, lecz domyślała się, czego dotyczyły uwagi. A i czytelnik zapewne się domyśla... Zaszła z nim w ciążę, Romuald ją zostawił, a jakiś czas później wyjechał do Niemiec Zachodnich. Urodziła syna, Marka (młodszy ode mnie od dwa lata) i oddała go na wychowanie rodzicom, z którymi mieszkał przez 6 lat. Przyszłego męża, Zygmunta, poznała w wieku 21 lat.

„To nie miłość od pierwszego. To było tak: On myślał, że Zośka jest jego dziewczyną, a Zośka chciała z nim zerwać, ale nie wiedziała jak. I namówiła mnie i Gosię, żebyśmy go uwiodły. I padło na mnie, bo Gosia spokojniejsza, a ja taki niespokojny, WAMPirowaty duch. Mi łatwiej przychodziło nawiązywać kontakty. Gosi on się nie podobał, nie wiedziała jak, a ja – spódniczka, oko, takie tam. W dwa tygodnie się udało go poderwać”.

Ta znajomość na jakiś czas się urwała, ale Anna odnowiła ją po mniej więcej roku odwiedzając Zygmunta w wojsku. Po wyjściu z wojska Zygmunt jej się oświadczył i wzięli ślub.

„Za same te słowa o małżeństwie go pokochałam. Dlaczego? Nie wiem, może dlatego, że mi się wydawało, że ja już za męża nie wyjdę, że nikt mnie nie zechce, że będę sama. I nagle był facet, który chciał. Pokochałam go za troskliwość, za to, że się uśmiechał, za to wszystko. A w latach 70. panna z dzieckiem miała małe szanse na zamążpójście. Może w miastach inaczej...”.

Po raz drugi zaszła w ciążę – dwanaście lat po pierwszym dziecku urodziła Rafała. Miesiąc później po raz kolejny zaszła w ciążę, którą usunęła farmakologicznie.

„Po tej ciąży zrobił mi się blok wewnątrz. Mam zablokowaną klapkę w mózgu. Do dzisiaj nie mogę się odblokować, mam problemy. Raz na miesiąc, na dwa, aż doszło do tego, że nie spałam z mężem właściwie dwa lata już. Ale rozmawiałam z koleżankami... mam ogromny żal do siebie, że go krzywdzę. I moje zaufane dwie przyjaciółki mówią – Baśka mówi – weź się zmusz. A ja nie potrafię. On ciągle miły, kochany, ale wiem, że głęboko zraniony. A teraz w wakacje, jak go zmusiłam to nie mógł. Próbowaliśmy cztery razy, i za każdym razem mąż nie może. Jakby blokada u niego wystąpiła. I mówię, że chyba musimy sobie Viagrę kupić. Bo jemu było źle, że się nie udało. I on powiedział, że może będziemy próbować częściej. I każde

położyło się na drugi bok. Tak wygląda nasze życie”.

Zwróćmy uwagę, że drugie dziecko urodziła w wieku 32 lat, a zatem ich życie *tak wygląda* już od 21 lat. W czasie tych spotkań podkreślałem stale powracające motywy seksualności, rozrywkowości, tęsknoty za WAMPirowatością przeplatane narzekaniem na umęczenie doświadczanym zastoje i jałowością.

„ Teraz wiem, że i ja byłem kochanką

– I jak się Pani z tym czuje?

A wie Pan, że miło... Jak to dotarło wreszcie do mnie, to tak mi się buzia roześmiała... Kurde, stara baba, przez 33 lata nie wiedziałaś o tym, że byłeś kochanką... :)”.

Pozwolę sobie w tym miejscu przerwać potok cytatów – czas na pierwsze podsumowania. Rozmowy wstępne błyskawicznie dotyczyły zaczęły życia seksualnego, a precyzyjniej – jego braku. Przewijał się temat śmierci – w nawiązaniu zarówno do śmierci młodszej siostry, jak i śmiertelnego chłodu w łóżkowych kontaktach z mężem. Pojawiał się temat oziębłego Romualda, który *„robił swoje i koniec”*. Pojawił się wreszcie sen, w którym miało dojść do orgazmu. Miało, ale nie doszło, bo tuż przed pacjentka się obudziła. Drugim tematem dominującym pierwszą fazę spotkań był lęk. Przed czym? Z grubsza przed tym, że już nic na nią nie czeka. Że niczego już nie będzie chciała.

„Mi się nawet nie chce uśmiechać do męża. Nagle się okazało, że ja nie mam o czym z nim rozmawiać”; „Co zrobić, żeby się te role odwróciły, żeby wróciła radość we mnie. Żeby nie była taka co się nic nie chce, co dzień przelatuje przez palce, że się budzę i nie wiem, co mam zrobić z tym życiem – takim jałowym. Nie mam pomysłu, naprawdę nie mam pomysłu na inne życie”. „Panie Łukaszu – sama siebie nie rozumiem. Jakbym zdawała sobie z tego sprawę, że życie jest zbyt krótkie, żeby przeciekało przez palce. Pan mi uświadomił kiedyś, że ja umieram. Żyjąc tak, jak żyję. Ale nie widzę odskoczni. Nie ma impulsu. Nie chce mi się.”

Spotkania wstępne pokazały z grubsza tyle, że starość to brak pragnień. Pozwoliły też inaczej spojrzeć na zgłaszana już na pierwszym spotkaniu bezsenność, którą zacząłem definiować nie jako symptom, lecz obiekt pożądania. Dlaczego? Bo najfajniejsze rzeczy robi się w nocy. Oczywiście, jeśli ma się z kim, bo przecież o 21⁰⁰ mąż zaczyna chrapać. Skoro mąż chrapie, a nikt inny nie wyraża zainteresowania, to czego pragnąć jeśli nie snu – ekwiwalentu śmierci? Logika podpowiadała strategię postępowania – zwiększyć ilość spotkań do trzech tygodniowo. Ukryty za pracą analityczną pozostawał drugi wymiar spotkań wstępnych – ja, jako człowiek z tkwiącą całą czas zadrą. Co więc robiłem? Dużo mówiłem. Bardzo dużo. Bo przecież, jak ktoś dużo gada, to znaczy że mądry. A jak mądry to metryka nie jest chyba aż tak ważna, prawda? Efekty propozycji zwiększenia ilości spotkań pojawiły się szybko. Anna po raz pierwszy miała sen z moim udziałem.

„Bardzo miły sen, tylko nie wiem skąd się wytrzasnął. Zaprosił nas Pan - swoich pacjentów, czyli nas było trochę więcej - absolutnie żadne twarze, czy coś... nie pamiętam... wiem, że nas było kilkoro z drugimi połówkami... na jakieś 30-lecie. Był długi stół, na stole pusto i siedzieli ludzie i Pan siedział z nami podając jakiś likier do picia i nie odzywając się. Patrzył Pan po nas, uśmiechał się i nie mówił ani deko. Myśmy coś tam rozmawiali, ale o czym nie wiem. Ale co dziwniejsze - w tym śnie widziałam Pana mamę, to znaczy Panią, która mówiła, że Pan jest jej synem. Pani lekko dystygowana, z takich osób znających swoją wartość, taka troszkę pod hrabinę, rozmawiająca ze służbą... widziałam Pana żonę, która się przedstawiła i coś tam powiedziała. Oczywiście Pan dalej... krąży Pan gdzieś tam nie odzywając się. (...) A raz w tle stoi Pana mama, żona i stoi Pan. Wszyscy ubrani jesteście do wyjścia i popędzacie mnie cały czas, żeby szybko kończyć rozmowę, bo wy jesteście umówieni na jakiś bankiet. A najdziwniejsze było to, że weszłam w jakiś placek upieczony, który stał pod stołem. Ja jakoś

chciałam usiąść przy stole i obiema nogami w ten placek... Byłam na tyle bezczelna, że nikt nie widział i ja ten placek tak przesunęłam ręką. I skończył się mój sen. Nie wiem, co mógł oznaczać i skąd się nagle wziął. No, ale...

Obiecywałam sobie, że jak przyjdę na sesję to Panu opowiem. Bo ten sen był bardzo sympatyczny, bardzo miły, taki nastrojowy. Tylko obudziłam się, zapamiętałam - o dziwo, bo rzadko zapamiętuję - i stwierdziłam, że to niesamowite, że akurat Pan mi się przyśnił.

I w tym śnie się zastanawiałam dlaczego jest Pan takim mrukiem w tym śnie? Dlaczego ani jednego słowa - gdybym była sama na tej uroczystości, ale zaprosił Pan wszystkich swoich klientów i przez cały sen nie powiedział Pan ani jednego słowa. Więc to było dla mnie takim zaskoczeniem, że pozostałe osoby jakby rozmawiały z nami, coś tam mówiły, a Pan przez całą czas się nie odzywał. Tylko w tym płaszczu... (...) Coś w sensie sesji. Siedzi Pan, uśmiecha się, mało co mówi, tylko ja konwersuję cały czas i w tym śnie też tak było. Stał Pan z boku nic nie mówiąc, taki bardzo spokojny człowiek, szalenie stoicki. Takie skojarzenia. (...)

Może to ma związek z propozycją tych 3 sesji? Tak sobie teraz główkuję. Może dlatego, że myślałam o tych 3 sesjach i to się odbiło we śnie. A sesje kojarzą mi się z Panem. I to 30-lecie. Że niby Pana pracy. Ale to niemożliwe, to coś na wyrost. To coś niemożliwego. Ale ni cholery mi się nie zgadzało wiekowo. 30 lat i pan... Pan ma pewnie 30 lat, albo i nie ma tyle. Poza tym, naprawdę nie wiem. Tęskniłam się za Panem, Panie Łukaszu i dlatego!"

Wszystko wydaje się czytelne. Wyrażając pragnienie zwiększenie częstotliwości spotkań stałem się powodem jej pragnienia. Matka i żona, dwie kobiety separujące mnie od Anny stanowiły barierę umożliwiającą pojawienie się pragnienia. Jednocześnie sen wskazywał na pewien kłopot. Poza ogólnym „niedopasowaniem” Anny do życia wyższych sfer (hrabina vs. wchodzenie butami w ciasto), powstała kwestia niezręczności uczucia wobec analityka. To, że Anna dyskretnie zaczęła podkochać się w analityku to jasne. Starła się jednak za wszelką cenę unikać spotkania sam na sam – zawsze była w grupie, zawsze z boku. Ten przeniesieniowy sen należało więc interpretować ze sporym wyczuciem tak, by eliminować wzrok innego – należało pozwolić jej na tę miłość jednocześnie nie ośmieszając. Tego wymagał dyskurs i superwizor. Dla MNIE rozpoczął się koszmaru rozdział drugi. Jak poradzić sobie z miłością starszej pani? No, na przykład odwracając fotel. Zwykle robi się to w momencie zakwestionowania – tym razem zakwestionowanie dotyczyło mnie. Miałem wyeliminować wzrok innego? No, to wyeliminowałem. A ponieważ wszelkie moje działania miały źródło bądź w wyobraźniowości, bądź w podporządkowaniu superwizji, przeto ich efekt był odwrotny do tak bardzo oczekiwanego. Pacjentka przyniosła kolejny sen.

„Sen dotyczył seksu. (...) To było przerażające. Śniło mi się dziecko.(...) Jakieś 10, 12 lat. (...) W życiu przez myśl by mi nie przeszło, że kiedyś doświadczę...(…) To jakieś kazirodztwo. Robiło się różne rzeczy w życiu, ale nie... (...) To jest tak, jak gdybym miała stosunek seksualny ze swoim własnym dzieckiem. To jest jakaś dewiacja, wie Pan, ja nie wiem, dlaczego mi się akurat to śniło. Może dlatego, że jestem tak bardzo przeciwna tego rodzaju praktykom. I musiałam doświadczyć tego chociaż we śnie. Nie umiem tego wytłumaczyć. Wiem, że jest to złe, sen był potworny i nie chciałam, żeby mi się coś takiego więcej śniło (...) Obudziłam się przerażona, siadłam na łóżku przerażona i zapamiętałam, że było to dziecko i tyle. Nie umiem nawet określić wieku. Wiem, że nie był to 16, 17, 20 latek – to było małe dziecko (...) Najbardziej wstrętne co mogło być, to osiągnęłam orgazm”.

Zinterpretowałem sen mówiąc, że to ja się jej śniłem. Ona natomiast interpretowała sen kazirodczo, by wymanewrować pragnienie młodszego mężczyzny. Wolałaby widzieć we mnie syna. Jej seksualne pragnienie przesunięte by wówczas zostało w kierunku macierzyńskiego, a tym samym bezpiecznie skanalizowane. Kłopot polegał na tym, iż dotychczasowa praca – niezależnie od mojej do niej niechęci – przyniosła już efekt: Anna chciała być pragniona. Kolejną sesję rozpoczęła zdaniem: „Proszę mi powiedzieć, czy po 30 latach można mieć jeszcze zobowiązania wobec kogoś?”. Pytanie aż prosiło się o interpretację,

tym bardziej, że sama zaczęła opowiadać o dawnych znajomych, którzy po tylu latach oczekują od niej kłopotliwej przysługi. Ja tymczasem odmówiłem interpretacji, ograniczając się do nic nie wnoszącego zdania „Po 30 latach nie ma już zobowiązań”. To, że Anna nie łączyła najróżniejszych „trzydziestek” pojawiających się w różnych miejscach dyskursu było zrozumiałe. By powiększyć zbiór „trójek” i „trzydziestek” powiem jeszcze, że Anna potajemnie nauczyła się obsługi Internetu i do trzeciej w nocy flirtowała na Gadu-Gadu z 33-letnim mężczyzną wprost proponującym jej seks. Obowiązek interpretacji spoczywał na mnie. Ja tymczasem coraz bardziej wycofywałem się ze ścieżki jej pragnienia pozostawiając Annę samą. Zamiast interpretować, domagałem się tego od niej. Ona z kolei odpowiadała, że strasznie ją swoimi domaganiami zamęczam. Wątek bycia męczoną nie był nowy. Anna umęczona była życiem/Romualdem/bezsennością/lękami komunikacyjnymi/rodzicami i wreszcie moimi domaganiami. Jej fantazmat zdawał się przyjmować taką właśnie formułę – jestem męczona. Skoro mamy formułę fantazmatu, możemy wnioskować o obiekcie. Że przypomnę, od połowy lat 60. Lacan ograniczył zbiór obiektów będących powodem pragnienia do czterech: głosu, spojrzenia, piersi i gówna. W przypadku pani Anny obiektem jest gówno. Pozwolenie jej na wejście w dyskurs analityczny oznaczałoby podkreślanie relacji wobec gówna w najróżniejszych aspektach jej życia. W jakimś sensie to ja miałem być tym gównem (np. gówniarzem, w którym się zakochała). Tylko, że JA gównem nie jestem! Ja jestem fajnym, grzecznym i lubianym chłopcem! I choćby nie wiem co, nikogo nie skrzywdzę! Z takim odbiciem w lustrze wyrządziłem krzywdę Annie. Jak? Zbliżyliśmy się do końca opowieści. Efektem mojego wycofania się i odmowy interpretacji był sen. Posłuchajmy:

„Śnił mi się znajomy człowiek. To oczywiście mężczyzna. Nie powiem Panu wieku bo nie wiem, a nie pytałam, wiem, że między 35 a 45 lat. I śnił mi się w sutannie, jako ksiądz. Wiem skądinąd, że księdzem nie jest oczywiście. I śnił mi się jako ksiądz i opowiada mi bardzo przemile rzeczy. Takie bardzo osobiste i tylko i wyłącznie dla mnie, dla moich uszu. Po czym ja jestem bardzo szczęśliwa, zadowolona, powiedziałabym – w jakiejś takiej euforii, nawet faceta księdza wyściskałam za te słowa. Po czym odwrócił się do mnie tyłem. Zrobił przysiad i jakby czegoś szukał. Na pewno to była jakaś polana, to było w naturze, nie na ulicy, nie w mieście. Być może jakiś las, widziałam drzewo i trawę wkoło. I bardzo mnie zafrapowało to dlaczego się ode mnie odwrócił. Coś jeszcze mówił, ale nie pamiętam co. Czy w tym śnie jest coś niezwykłego? Czy to po prostu jakaś banialuka mi się przyśniła? (...) Byłam taka szczęśliwa, prawie totalna ekstaza, a tu nagle odwraca się do mnie tyłem. Nie rozumiem. Pomyślałam, że skoro to zakazany owoc, to daje mi do zrozumienia, że miłe słowa miłymi słowami, ale nic z tego. (...) Jak ja to interpretuję? Może na zasadzie 'miałeś chamie złoty róg i straciłeś go'? Przegapiłam szansę”.

Tak szybko, zanim przedstawię następny sen – to ja straciłem szansę! Kolejny sen opowiedziany bezpośrednio po tym był taki:

„Uprawiałam seks. Ale facet był taki około 50. Nie znam faceta, z nikim go nie kojarzę. Ale podobało mi się. (...) Co przyciągnęło moją uwagę? Jak to powiedzieć... naprężony członek faceta. To wszystko”.

I co ja na te sny? Wstyd przyznać, ale powiedziałem tak: „Jest pewien wspólny akcent obydwu snów – Pani się od tych mężczyzn nie odwróciła”. Taka interpretacja oczywiście donikąd nie prowadziła, o czym mam nadzieję nie muszę słuchaczy przekonywać. W odpowiedzi usłyszałem: „A co to za satysfakcja? Wychodzi na to, że ja się do niczego nie nadaję”. Dobiłem leżącą słowami: „Interpretacja narzuca się sama. Do zobaczenia w poniedziałek”. Na kolejnej sesji zapowiedziała, iż za miesiąc zamierza zakończyć spotkania. Jak zapowiedziała, tak zrobiła, przy mojej biernej akceptacji. Interpretacje ograniczałem to pytań z kategorii „A co Pani na ten temat sądzi?” i uwag „Proszę mówić dalej”. Z tym, że Anna chciała, bym od niej się nie odwracał i nie przegapił szansy. Ja natomiast całą odpowiedzialność za pragnienie, którego w rezultacie własnych zabiegów stałem się powodem, przerzuciłem na nią. Tak, jakbym chciał pokazać – że użyję słowa z rejestru wyobrazeniowego – że ja z tym gównem nie mam nic wspólnego, że ja jestem czysty. Pani się

zakochała? A to ciekawe! Niech mi Pani o tym opowie!

Na początku wystąpienia wspominałem o kilku kluczowych aspektach, którym należy się przyjrzeć, gdy rozważamy zagadnienie zbrodni. Był to moment zawiązania przeniesienia, sposób otwierania przestrzeni pragnienia i jego dialektyzacji oraz ujmowania fantazmatu i podtrzymywania dyskursu analitycznego. Istota zbrodni tkwi w obiekcie. W przypadku pani Anny, w mojej niezdolności, a może po prostu niechęci do zajęcia miejsca gówna. Dlaczego tego miejsca nie zająłem? Czy dlatego, że gówno jest dla mnie zbyt atrakcyjne? A może źle wyglądałbym wówczas w oczach Innego? Póki co pozostawię te pytania bez odpowiedzi. Jaka by odpowiedź ta nie była, sposób pracy z Anną był konsekwencją odmowy odejścia od lustra. Otwieranie przestrzeni dla jej pragnienia szło całkiem sprawnie, acz więcej było w tym rutyny, niż życzliwości i ciekawości. A to dlatego, że obiekt, choć jeszcze nie zidentyfikowany, straszył gdzieś na horyzoncie. Podobnie niewygodne było miejsce podarowane mi w przeniesieniu. A kim byłem? Myślę, że pomimo różnicy wieku – Romualdem. Tym, z nieco lepszego świata, który rozkocha, zrobi sobie dobrze, odwróci się i opuści. Takim, ot, skurwysynem. Moja mama nie byłaby dumna. Czy zabiłem pragnienie? Nie. Że przypomnę tezę z początku wystąpienia: „Jeśli po stronie analizanta jest miłość przeniesieniowa, po stronie analityka jest pragnienie analityczne”. Skoro nie zabiłem pragnienia, to co właściwie zrobiłem? Poświęciłem je w imię własnego narcyzmu? Ta odpowiedź wydaje mi się póki co najlepsza. A jeśli tak właśnie zrobiłem, wymiar zbrodni jest tym większy. Bo po dziś dzień działałm wbrew pragnieniu.

To była zbrodnia doskonała. Tak doskonała, jak doskonały jestem wyobrażeniowy JA.